

[KULTURA]



Piotr Adamczyk (ur. 1972 r.) – jeden z najpopularniejszych polskich aktorów. Ukończył warszawską PWST, związany z Teatrem Współczesnym w latach 1995–2004. Grał m.in. papieża (Jana Pawła II), Chopina, Brunnera (w nowej wersji „Hansa Klossa”), etatowo obsadzany w komediach romantycznych w rolach bigamistów, kobieciarzy i playboyów.

Zrywam etykiety

Nie przesadzajmy z tytułami, że Adamczyk podbija Hollywood – mówi **Piotr Adamczyk**, opowiadając o graniu w amerykańskich serialach i roli w filmie „Wrobiony”.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: – Na początek zagadka: co łączy prezydenta Polski, rosyjskiego szpiega i Tomasa z uniwersum Marvela?

PIOTR ADAMCZYK: – Brzmi jak skrót mojego amerykańskiego CV. Niepełnego jeszcze, ale te trzy postaci rzeczywiście zagrałem. W serialu political fiction „Madam Secretary” miałem przyjemność wystąpić u boku wspaniałej aktorki, jaką jest Tia Leoni, jako Józef Demko, twardo stąpający po ziemi, niepałający miłością do uchodźców przywódca Polski. Dostałem za to tęgę batę od zorganizowanej armii trolli. Hejtowali mnie, myśląc, że to atak na prezydenta Dudę.

Hejt to ulubiona forma rozrywki w sieci.

Komentarze internautów były wyjątkowo kąśliwe. Niestety, nie pamiętam, gdzie przeczytałem, że biorąc pod uwagę zjadliwość komentarzy w sieci, Polacy zajmują niechlubne pierwsze miejsce. Być może jest to sposób odreagowania za dekady braku wolności słowa, a może z innych względów – wszak w społeczności międzynarodowej uchodzimy też, niestety, za niedowartościowanych. Amerykanie np. nie rozumieją, o co chodzi w zdaniu, które

usłyszałem kiedyś od Jana Englerta: „żeby Polacy uznali twój sukces, muszą ci go najpierw wybaczyć”. Próbowałem to powiedzenie przetłumaczyć swoim amerykańskim kolegom. Było tak dalekie od ich rozumienia świata, że nie byli w stanie go zrozumieć.

Po „For All Mankind” tak ostrej reakcji nie było, chociaż gra pan w tym serialu Rosjanina. To alternatywna wersja historii podboju kosmosu – co by się działo, gdyby nie upadł Związek Radziecki.

W „For All Mankind” Rosjanie pierwsi lądują na Księżycu, przygotowują misję na Marsa, starając się narzucić rosyjską dominację w kosmosie. Bardzo ciekawa wizja jak na obecne czasy. Przygotowujemy się do czwartego sezonu, sam jestem ciekaw, jakie wątki się pojawią i czy będą w jakikolwiek sposób nawiązywać do współczesności.

Rozmowy o polityce są popularne wśród amerykańskich aktorów?

Na planie podczas pracy staramy się unikać tematów politycznych, zresztą kontrakty tego zabraniają, a w dodatku takie rozmowy są źle postrzegane. Co innego prywatnie. Gdy wybuchła wojna, moja koleżanka z planu pytała, jak może pomóc, chciała przyjeżdżać do Polski i pomagać jako tłumaczka. Musiałem jej wytłumaczyć, że przez to, że jest Rosjanką, może być jej trudno zyskać zaufanie ukraińskich uchodźców i zachęciłem ją, by zorganizowała pomoc humanitarną.

Wojna zmieniła nastawienie do Polski?

Gdy kręcąc rok temu w Stanach i Argentynie serial „Nocne niebo” dla Amazona mówiłem, że jestem z Polski, słyszałem od wielu osób z ekipy: „Ach, to u was rząd nie szanuje praw kobiet!”. Po spontanicznej akcji masowego przyjmowania Ukraińców przez Polaków do własnych domów Polska obecnie kojarzy się z wielkim sercem i odwagą. Nagle wszyscy nas chwalą. Zaskakująco zmienne potrafi być postrzeganie jednego narodu przez inny naród. Wszystko zależy od aktualnej sytuacji, kierunku politycznych wiatrów i zależnej od nich siły medialnego przekazu. Cieszę się, że znów nastał piarowo dobry czas dla Polski.

Po emisji „Hawkeye”, gdzie nieoczekiwanie wciela się pan w dresiarza, członka gangu wtrącającego w łamaną angielszczyznę soczyste polskie przekleństwa, zamiast hejtu był hajp.

Znów mówimy o sile medialnego przekazu, który ma w dodatku bardzo skrajnie wyregulowany potencjometr – albo hejt, albo hajp. Czasem odnoszę wrażenie, że niezależnie od tego, co się naprawdę dzieje, życiorysem osób publicznych sterują clickbajty. Media budują kogoś, żeby go potem strącić w otchłań, a potem wskrzesić z popiołów. W takiej sytuacji hajp też może być stresujący, bo w każdej chwili sinusoida może zjechać w dół.

Teraz internet huczy, że pojawi się pan w „She-Hulk”, kolejnej produkcji Marvela.

Przed chwilą huczał, że trafiłem do „Gwiezdných wojen”... Marvel słynie z tzw. *easter eggów*, czyli wzajemnych powiązań różnych cykli. Pewne wątki się przecinają, bohaterowie oddzielnych serii wpadają na siebie. Ci, którzy śledzą na bieżąco produkcje Marvela, traktują to jak jeden niekończący się spektakl. Bawi ich wyłapywanie różnego rodzaju nawiązań. Na ekranie telefonu w serialu „She-Hulk” pojawia się nick Tracksuit22, ktoś skojarzył to z naszą bandą i tyle.

Już widzę łzy rozpaczy, że nie będzie Adamczyka w „She-Hulk”.

Nie przesadzajmy... Nie przesadzajmy też z tytułami, że Adamczyk podbija Hollywood.

Zadomowił się pan w Ameryce. Więc mimo wszystko zapytam: seriale to trampolina do czegoś większego?

Myślę bardzo prosto. Nie dostałem ostatnio żadnej sensownej propozycji z Polski, więc jestem tam, gdzie oferują mi pracę. Parę dni temu spotkał mnie bardzo miły gest. Zostałem zaproszony na premierę „Bullet Train”, w którym miałem grać. Pandemiczne zawirowania wymusiły przesunięcie zdjęć. Dogodnych, nowych terminów nie udało się wynegocjować. Niemniej byłem pod wrażeniem, że o mnie pamiętano.

Może to znak, że zaczynają się z panem liczyć za oceanem?

To pokazuje raczej szacunek tutejszych producentów do aktorów, nawet tych początkujących w Hollywood, grających role drugoplanowe. Bardzo mnie to cieszy, dzięki temu wchodzę na nową drabinkę zawodowych wyzwań. Zawsze lubiłem grać i od zawsze wiem, że ten zawód wymaga pokory. To ciągłe poszukiwanie czegoś nowego. Stymulujące jest też cofnięcie się do szkolnej ławy. Chcąc być wierny tej idei, kilka lat temu ukończyłem tu kurs aktorski i poznałem metodę teatralną Ivany Chubbuck. Cenię każde doświadczenie, zwłaszcza dające możliwość wymknienia się schematom. Zawsze staram się w postaci znaleźć coś nowego, ale gdybym kolejny raz miał powtarzać rolę podstarzałego playboya w komedii romantycznej, czułbym, że dochodzę do granic rutyny.

Amerykanie nieźle płacą, to i satysfakcja nie mała.

Nie lubię sprowadzania satysfakcji do kwestii zarobków. Uprawiam zawód artystyczny, w którym to nie pieniądze są podstawową wartością. Moim marzeniem był – i nadal jest – wybór jak najciekawszych i zróżnicowanych ról. Patrząc na swoją drogę zawodową, widzę, że zawsze wiązała się mniej lub bardziej z zagranicą. Miałem to szczęście, że przyznano mi stypendium w szkole aktorskiej w Londynie, co otworzyło mi świat już na początku lat 90. „Chopin. Pragnienie miłości” Jerzego Antczaka realizowany był również w angielskiej wersji językowej. Obie części biograficznego filmu o Janie Pawle II już wyłącznie po angielsku. Nawiasem mówiąc, „Karol” nie był filmem polskim, tylko włoskim.

Z Włochami wiąże pana szczególnie sentyment. Grał pan w tamtejszych teatrach, zaliczył występ u Liliany Cavani w „Einsteinie”. W kraju przeszło to właściwie bez echa.

Te włoskie doświadczenia to pokłosie sukcesu papieskich filmów Giacomo Battiato. Miałem taki czas, że nie mogłem swobodnie przejść ulicami Rzymu, bo zaraz gromadził się wokół mnie tłumek. Przez to, że ten serial jest co jakiś czas emitowany, ta gorączka niekiedy powraca.

To skąd to Hollywood? Zmienił się pana agent? Znów zadziałała magia filmu o papieżu?

Tak, po dystrybucji „Karola” w Stanach odezwał się do mnie pierwszy agent. Cały czas pracowałem wówczas w Polsce, kręciliśmy „Testosteron”, miałem też zobowiązania związane z graniem na scenach warszawskich teatrów, więc wysyłałem tzw. self-tape’y, oczekując w napięciu przez dwa-trzy tygodnie, co odpowiedzą. No i się doczekałem. Pocztą zwrotną przyszła otwarta kasetka VHS z dopiskiem: „Nie mogliśmy tego obejrzeć, bo nagranie jest w innym systemie”. Tam był PAL, u nas SECAM.

Ale skoro coraz częściej witałem się z gąską, zacząłem wierzyć, że to jest możliwe, mimo że trudne. Czasem wygrywałem castingi, ale się okazywało, że producent jednak mnie wymieniał na kogoś z doświadczeniem na rynku amerykańskim. Po #MeToo te bariery pękły. Garstka bardzo wpływowych producentów przestała rządzić Hollywood. Decyzje zaczęły zapadać w korporacjach rozwijających platformy streamingowe. Amerykanie przekonali się, że istnieją inne kinematografie poza ich własną, że na ekranie mówi się różnymi językami, że amerykański aktor, nieudolnie dukający po polsku czy rosyjsku, staje się niewiarygodny. Zrobiła się przestrzeń dla cudzoziemców takich jak ja.

W Polsce uciekał pan przed etykietkami, w Stanach już pan nie musi?

Cudowne jest to, że dostaję tam zupełnie nieoczywiste propozycje. Po łysym mafioso mówiącym z ostrym polskim akcentem mogłem zagrać wrażliwego Rosjanina i zgłębić tajemnice jego osobowości na przestrzeni kilku dekad. W „Nocnym niebie” jestem złym Corneliusiem, obcym z innej planety, wyglądającym trochę jak schorowany amisz i mówiącym w dziwnym dialekcie. Nikt mnie z niczym nie utożsamia, jestem po prostu aktorem, człowiekiem ze wschodniej Europy.

Ale rynek szybko się zmienia. Po fuzji Warner Bros. i Discovery, właściciele platformy HBO Max, odwoływane są popularne seriale, np. „Batgirl”. Nie obawia się pan, że to może przyhamować taką karierę?

Jedyną niezmienną rzeczą są zmiany. Możemy ubolewać nad tym, że kulturą rządzą finanse. Że to taki sam biznes jak każdy inny, w którym waluta emocji, pasji i talentu zainwestowana w pracę nie znaczy nic wobec twardej waluty pieniądza. Parę lat temu miałem zaszczyt być pierwszym prowadzącym polską edycję amerykańskiego programu „Saturday Night Live”. Uznano ją za najlepszą franczyzę SNL na świecie. Kanał Showmax Polska, który to nadawał, został sprzedany i jedno kliknięcie myszki jakiegoś finansisty przekreśliło tysiące godzin pracy i entuzjazmu, włożonych w ten program przez tak wiele osób. Kariera – nie lubię tego słowa – to wypadkowa wielu czynników. Moim zdaniem kluczową rolę odgrywa przypadek.

Według branżowych portali oprócz polskiego posługuje się pan biegle trzema językami: angielskim, rosyjskim i włoskim. Ma pan też doświadczenia z niemieckim, szwedzkim, portugalskim, a nawet japońskim. Mało aktorów wykazuje się takimi umiejętnościami.

Nie nazwałbym tego biegłą znajomością, ale na pewno potrafię grać w tych trzech językach. Włoskiego uczyłem się na krześle w charakteryzatorni, przysłuchując się bardzo rozmownym Włochom. Czasami pytają mnie w restauracjach, z jakiego regionu Włoch pochodzę – dopóki nie popełnię jakiegoś błędu. Rosyjskiego liźnałem w podstawówce. Życie przyniosło mi też wiele okazji, by szlifować angielski. A te inne języki musiałem wykuć do scen na tzw. małpę.

Granie w języku, którego się nie rozumie, musi być stresujące.

Najważniejszym zadaniem dla aktora jest właściwy przekaz emocjonalny, a granie w obcym języku utrudnia tylko przekaz werbalny. Opanowanie kwestii jest istotne, ale najważniejsze ►

► jest, co tak naprawdę chcemy przekazać. Jak się umiejętnie połączy te dwa żywioły, zadziała.

Gdyby to było takie proste...

Zawsze lubiłem obce języki. W dzieciństwie przy wyjeździe pod namiot nad jezioro towarzyszyło mi „Lato z radiem”. Uwielbiałem moment, kiedy w różnych językach zapowiadano ten program. Chłonałem obce słowa niczym gąbka, tworzyłem jakieś scenki, skecze, udając na harcerskich obozach poliglotę. W ognisku teatralnym miałem ksywę Węgier, bo najlepiej naśladowałem ten język. Pamiętam mój pierwszy wyjazd do Anglii w międzynarodowym gronie dzieci dyplomatów. Co za mozaika! Matka jest Francuzką urodzoną w Hiszpanii, ojciec – Amerykanin japońskiego pochodzenia. Urodzona w Szwecji, mieszka w Pekinie, dziewczyna zna pięć języków. Zapytałem, w jakim języku śni. Raz w tym, raz w tamtym. Strasznie mi to imponowało. Zazdrościłem jej tych umiejętności, tak jak muzykom zazdrości się, że potrafią grać na jakimś instrumencie.

A zdarzyło się, że nie zrozumiał pan czegoś na planie i udawał, że wie, o co chodzi?

Owszem, nawet gdy mówili do mnie po polsku. Kiedyś na scenie Teatru Współczesnego sufler pełnym głosem podpowiadał mi zdanie, którego zapomniałem. Tak mi szumiało w głowie ze zdenerwowania, że w ogóle nic nie słyszałem. Nieraz tak mi się zdarza, bez względu na to, kto i w jakim języku do mnie mówi. Na szczęście większość widzów tego nie zauważa.

Aktorstwo polega na ciągłym zaskakiwaniu siebie i widza?

Gdy byliśmy studentami, Gustaw Holoubek czy Zbigniew Zapasiewicz, ucząc nas w szkole teatralnej, tłumaczyli nam, że tego, czym jest aktorstwo, nie rozumiemy tu i teraz z ich słów. Że dopiero po jakimś czasie to do nas dotrze, wraz z doświadczeniem. I faktycznie tak się działo. Trzeba coś przeżyć, poobserwować samego siebie, dojrzeć, nabrać dystansu do pewnych prawd, by móc stworzyć swoją indywidualną, niepowtarzalną metodę aktorską. Każdy w swoim tempie. Na tym polega piękno tego zawodu. Z drugiej strony są artyści, którzy piszą praktyczne poradniki, jak być aktorem. Niektórzy z tego korzystają, idą nieco na skróty i, o dziwo, stają się wiarygodni. Podobno każdy człowiek jest w stanie zagrać genialnie przynajmniej jedną rolę – samego siebie.

Nigdy nie zwątpił pan w swój talent?

Zawsze w niego wątpię. Z PRL wyniosłem totalną niewiarę w siebie. Paradoksalnie to dla takiego aktora jak ja stymulujące, bo działałam na zasadzie wewnętrznego przymusu. Rozbudzony perfekcjonizm każe grać lepiej, nieustannie ćwiczyć, doskonalić się. Z drugiej strony nerwy wyzwalały silne emocje i nie pozwalają niczego kontrolować. Pamiętam, jak w przeddzień ważnej sceny w „For All Mankind” miałem bezsenność. Miałem wrażenie, że grając, nie mam w sobie ani krztyny energii, że wszystko robię źle, bałem się, że to będzie nie do oglądania. Tymczasem moje zmęczenie okazało się wiarygodnym zmęczeniem mojej postaci, a walka z moimi niepewnościami – ciekawym, pełnym wątpliwości procesem myślowym Sergieja Nikulowa, którego gram w serialu. Aktorska pomyłka, za którą się karcimy, jest naturalnym przejęzieniem człowieka, którego gramy. Ważne, by iść do przodu i nie tracić wiary w ten umowny świat, w tę magiczną chwilę, którą przeżywamy na planie bądź scenie i – niczym dzieci w zabawie – za żadne skarby nie krzyknąć: „pobite gary!”. Wiesław Michnikowski, z którym często rozmawiałem za kulisami, ostrzegał, że jeśli aktor jest z siebie zadowolony, prawdopodobnie nie wypadł interesująco. Znał też takich, którzy świadomie nie

uczą się tekstu, żeby osiągnąć ów stan rozdygotania, bólu, paniki. Bo to się dobrze fotografuje.

Za to niektórzy wycofują się z profesji, dlaczego?

W każdym zawodzie może przyjść moment zawodowego wypalenia. Dobrze wtedy znaleźć sobie możliwość wspinania się po drabinie od nowa albo wybranie zupełnie innej drabinki, czyli właśnie zmianę profesji. Myślę, że najważniejsze jest to, byśmy czuli się spełnieni. Dla mnie spełnieniem byłoby z pewnością umiejętne balansowanie na dwóch nogach: komercyjnej i artystycznej.

W Polsce chodzi pan stale na jednej. Za chwilę zobaczymy pana w piątym „Listach do M.”. Nie ma w tym czegoś z powtarzania się?

Polemizowałbym, czy to jest wciąż ten sam Adamczyk. Dla mnie „Listy do M.” to takie doświadczenie jak z „Boyhood”. Kręcimy ten kinowy serial już od kilkunastu lat. Nasze postaci dojrzewają i starzeją się wraz z nami. Podobnym doświadczeniem było dla mnie granie w filmie „Wrobiony”, który wkrótce będzie miał w Polsce swoją premierę, a do którego zdjęcia rozpoczęliśmy do-

brych kilka lat temu. Powracaliśmy na plan po długich przerwach, dokręcając kolejne sceny. Cieszę się, że wkrótce spotkam się na premierze ze swoimi przyjaciółmi z planu. To bardzo międzynarodowe grono polsko-włosko-niemieckie. Film powstawał w głównej mierze w malowniczym włoskim nadmorskim miasteczku Porto Ecole, w którym znajduje się grób Caravaggia. Jego malarstwo, a właściwie śledztwo dotyczące jego ostatniego zaginionego dzieła, jest jednym z wątków tego filmu.

A co z tym kinem artystycznym, dlaczego je pan omija?

Czy też – dlaczego kino artystyczne omija mnie? A właściwie, doprecyzowując, polskie kino artystyczne. Nie wiem dlaczego. Być może powodem są te etykietki, w ucieczce przed którymi zanosło mnie aż do USA. Trafiam jednak czasem na festiwalowe ekrany, biorąc udział w zagranicznych przedsięwzięciach. Film „Wrobiony” zresztą także bywał na festiwalach, np. w Montrealu.

W której roli zbliżył się pan najbardziej do samego siebie?

W każdej roli mam takie momenty. Nie wyobrażam sobie roli, w której wszystko jest sztucznie wykreowane. Zawsze czerpiemy z siebie, ze swojej wrażliwości.

Granie to dla mnie w pewnym sensie forma psychoterapii. Prywatnie należę do osób wstydlivych, zamkniętych, naiwnie ufnych. Zawód daje mi możliwość wyrzucenia z siebie pokładów emocji, których na co dzień nie dotykam. Jak Liza Minnelli w „Kabarecie”, chodząca pod most, żeby się wykrzyknąć.

Jak się osiąga klasę mistrzowską? Co o tym decyduje?

Popularność? Ilość zer na koncercie? Nagrody?

A skąd ja mam to wiedzieć? Sam pan przecież zauważył, że omija mnie kino artystyczne. Nie znam przepisu. Wiem natomiast, że wyznacznikiem, o którym każdy marzy, jest uznanie krytyków i widowni. Film festiwalowy, który ma dużą oglądalność, to jest ten złoty środek. Niestety, obowiązuje nas dyktatura klikalności. Komputery badają nawet ruch gałek ocznych widzów, by wyłapać, co najbardziej interesuje publiczność, który moment wzbudza ich emocje. Sztuczna inteligencja zbiera te informacje. Od artystów wymaga się, żeby równali do średniej, trafiali w masowy gust. Wszystko, co odstaje, jest kasowane. Na przykład mimo zachwyty Davida Lyncha zapadła decyzja, że nasz serial „Nocne niebo” nie będzie kontynuowany. Kiedyś jego pochwała coś by znaczyła. Dziś nie. To chyba demokracja w sztuce.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

Zawód daje mi
możliwość wyrzucenia
z siebie pokładów
emocji, których
na co dzień nie dotykam.